

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

To, co tym razem wybrałem do zasygnalizowania, to – z jednym wyjątkiem – są książki w zasadzie przeciętne, a w każdym razie nierówne, niekoniecznie mierne, ale pozbawione kreatywnej oryginalności lub wzmożonej pomysłowości. Bo też tak wygląda typowe piśmiennictwo z obszaru INiB.

JA, GORMAN [***]

Michael Gorman (2011). *Broken pieces. A library life, 1941-1978*. Chicago: American Library Association, 232 s., ISBN 978-0-8389-1104-4.

Guru amerykańskiego bibliotekarstwa, Michael Gorman, zawsze narowisty i tupeciarski – jak większość mieszkańców obrzeży Londynu, skąd się wywodzi – ale też kreatywny i refleksyjny, ma już 71 lat i niedawno opublikował wspomnienia. Napisane sprawnie, ale jednak bez tego dodatkowego polotu, który wyróżnia memuary osobowości szczególnych. Oraz uwikłane w rozbudowaną familiografię (i ni-jaką fotografię z nim samym na ogół na pierwszym planie), która mnie akurat nic nie obchodzi. No i w co trzecim zdaniu ociekające megalomanią. Ale jest tam też kilka interesujących opinii o bibliotekarstwie, dlatego tę książkę tu sygnalizuję.

Gorman w młodości nie chciał się uczyć, wyleciał nawet ze szkoły, ale zawsze dużo czytał, stąd późniejsza wiedza, jakkolwiek dość jednostronna oraz niewolna od luk, które widać w jego różnych książkach. Poza tym: świat jest mały. Okazuje się, że chodziliśmy w Londynie do tej samej szkoły – tyle, że ja nieco wcześniej – i dobrze rozumiem jego utyskiwania na praktykowaną wtedy nadgorliwie w tamtejszych szkołach karę chłosty: rzeczywiście nic przyjemnego. Oraz na kartkowe przydziały/ograniczenia (czasy tuż po wojnie) prawie wszystkiego, chociaż prawdziwy Londyńczyk miał w ofercie znacznie więcej aniżeli przybłęda z Europy Wschodniej.

Podjął pracę w londyńskich bibliotekach publicznych, na różnych stanowiskach, potem skończył szkołę bibliotecarską i dopiero wtedy wziął się za swoją główną specjalność, mianowicie katalogowanie, wraz z indeksacją i klasyfikacją. Tym też zajął się w British Library, pracując nad brytyjską bibliografią narodową, a potem – już w skali międzynarodowej – nad regułami MARC, realizując wykłady i analizy na zlecenie IFLA. Po latach przyznaje, że studia bibliotecarskie wiele mu dały, bo wówczas były wspierane bezpośrednio przez biblioteki, co potem zostało poniecane. W rezultacie – jak powiada – kształci się teraz i produkuje zawodowych ignorantów. Hm.

Współpraca z IFLA oraz wyjazd do USA, gdzie podjął pracę na Uniwersytecie w Urbana-Champaign, to już był start do światowej kariery. Narzekał wprawdzie na amerykańską odmienność rzeczywistości, ale do Anglii na stałe jednak nie wrócił. Stał się głównym inspiratorem i realizatorem prac nad AACR, czyli Anglo-American Cataloguing Rules (w *Podręcznym słowniku bibliotekarza* nie ma nawet takiego hasła), które z czasem zostały przejęte w szerokiej skali międzynarodowej.

Opis koncepcji oraz zmagania o zachowanie właściwej idei AACR jest długi i frapujący. Opory konserwatystów były silne i liczne, ale Gorman zawsze miał naturę wojownika i w końcu postawił na swoim. Przesforował to, czego chciał.

No i nigdy nie przestał być katalogerem, z tej perspektywy oceniając bibliotekarstwo obecne i przyszłe. Stąd cierpkie uwagi o metadanych i o folksonomii. Wolny od euforii wobec elektronizacji całej rzeczywistości (to dobrze), chyba jednak zagalopował się, obwiniając ją o wszystko co złe – w słabo zawołowanej formie. Tak więc oto niedawny awangardzista stał się nagle konserwatystą. Bywa tak, jeżeli nie zachowuje się umiarkowania i nie akceptuje rozsądnego współistnienia nowego z minionym i koegzystencji różnych form komunikacji, co przecież niczego co dobre nie niszczy, a zarazem toruje drogę pożytecznym nowościom. Bez uporu bądź szaleństwa w którąkolwiek stronę.

Według Gormana, digitalizacja nie ma szacunku dla przeszłości oraz ignoruje przyszłość. Ale (jak powiada) na szczęście istnieją bibliotekarze z poczuciem społecznej odpowiedzialności i na tym trzyma się bibliotekarstwo.

Jest w tym trochę racji, ale też sporo przesady oraz negacji dla negacji. Nie padam plackiem przed komunikacją elektroniczną, ale też nie wyobrażam sobie bez niej – tak jak i bez piśmiennictwa – ani komunikowania publicznego, ani bibliotekarstwa.



BUDOWNICTWO BIBLIOTECZNE [*****]

Ladislav Kurka (2011). *Architektura knihoven*. Praha: Skip, 96 s., ISBN 978-80-85851-20-5.

W poprzednim numerze „PB” zasygnalizowałem rosyjską publikację o bibliotecznym budownictwie – niestety katastrofalną. Okazuje się jednak, że można o tym samym napisać rewelacyjnie. A zrobił to nestor (80 l.) bibliotekarstwa czeskiego, dr Ladislav Kurka, wykładowca Wyższej Szkoły Studiów Informacyjnych w Pradze. Ongiś pracownik biblioteki wojskowej, relegowany po Praskiej Wiośnie, wyspecjalizował się w problematyce bibliotecznej architektury i dziś trudno się z nim

mierzyć w znajomości tego zagadnienia. Kurka doskonale wie o czym pisze: błędnie wybiera to, co ważne lub frapujące, a poza tym reprodukuje różne projekty architektoniczne bibliotek, ciekawe zdjęcia bibliotecznych budynków i wnętrz, oraz referuje rozmaite użyteczne normy. Tak tworzy się znakomite kompendium. Ale wie również PO CO pisze, a także DLA KOGO. To jest w rezultacie monografia zarówno informacyjno-syntetyczna, jak i poradnicza, świetnie uargumentowana i klarownie zrelacjonowana. No i sama lektura okazuje się pod każdym względem frapująca, nawet jeżeli ktoś (tak jak ja) nie jest bohemistą.

W błyskotliwym przeglądzie historii bibliotecznego budownictwa, Kurka zwraca uwagę na ciągłość i konsekwentny rozwój niektórych rozwiązań oraz na różne okoliczności sprawcze, które w dodatku po latach przywracają niekiedy zapomniane już koncepcje, ale w nowych wersjach. Oto biblioteki, zakładane ongiś przez świątynie lub władców, musiały mieć z racji organizatora i jego prestiżu centralną lokalizację. Dzisiaj chcemy tego samego, lecz z powodów funkcjonalnych, żeby dla publiczności było wygodnie. Zatem: niby to samo, a jednak całkowicie nie to samo.

Już w 117 r. biblioteka w Efezie wprowadziła regały o szerokości 1 m. i tak odtąd zostało. W Odrodzeniu – ze względu na wolny dostęp do zbiorów – zawartość regałów zaczęto opisywać, pojawiły się też ławki oraz pulpity. Gdyby ktoś pytał: do czytania i pisania w pozycji stojącej, co na szczęście potem zarzucono. Barok spowodował ozdabianie ścian freskami oraz urokliwą zabudowę regałów aż po sufity, co z drabin uczyniło sprzęt również bibliotekarski. Czy dlatego mamy wspólnego patrona ze strażakami? Od XIX w. zaś na książki, już wydawane masowo, potrzeba było coraz więcej miejsca, katalogi wyodrębniono więc na osobnych przestrzeniach, a w wypożyczalniach i czytelnich pojawiły się lady ze stanowiskami rejestracyjnymi. W myśl (jak sądzę) porzekadła: dużo do czytania – dużo do kradzieży.

W latach ostatnich, po niejakkim zastoju, znowu buduje się biblioteki, bo prognozy zaniku książek nie znajdują potwierdzenia. W projektowaniu – obok nowych materiałów budowlanych i technologii – zaczęto znacznie staranniej uwzględniać świeże koncepcje ról biblioteki, już nie tylko jako miejsca realizacji usług i dostawy informacji, ale także jako przestrzeni, gdzie studiuje się i pracuje intelektualnie oraz – spotyka z innymi osobami. Zwłaszcza przestrzeń do pracy na miejscu zmieniły się radykalnie. Zamiast megaczyteł, aranżuje się osobne stanowiska przy stolikach jednoosobowych bądź kilkuosobowych, zawsze z monitorami, lokalizowane w różnych segmentach biblioteki, niekoniecznie razem. Ze względu zaś na długi czas po-

bytu w bibliotece, zaczęto nareszcie projektować także przestrzenie rekreacyjne oraz bufety, kafejki, a przynajmniej miejsca na automaty z napojami. W sumie zatem wnętrze współczesnej biblioteki coraz bardziej różni się od jej tradycyjnego wyglądu.

Elektronizacja procesów bibliotecznych zmieniła też aranżację strefy usługowej. Za sprawą RFID powróciła zasada wolnego dostępu do zbiorów, radykalnie zmieniając cały system obsługi, także na wynos. Wypożyczalnie, a właściwie wypożyczalnio-czytelnie, trzeba teraz projektować zupełnie inaczej.

Do nowych pomysłów architektonicznych należy obecnie nastawienie na światło naturalne, stąd wielkie okna w bibliotekach oraz prawie zawsze jakieś atrium. Projektując zaś wnętrza, szuka się odpowiednich rozwiązań, żeby unikać wrażenia zagraconej przestrzeni – które dawniej bibliotekom towarzyszyło zawsze, zwłaszcza w księżnicach dużych. Autor doradza też wpro-



wadzenie systemów nawigacji – z ekranami na ścianach lub wiszącymi w przestrzeni – co skutecznie redukuje uczucie zagubienia i przytłamszenia ogromem bibliotecznych molochów.

Dla bibliotekarzy Kurka ma jednoznaczny postulat. Otóż, jeżeli powstają plany budowy biblioteki, trzeba starannie i kreatywnie współpracować z projektantami – ze szczególnie cierpliwym objaśnianiem przeznaczenia i roli pomieszczeń, agend oraz urządzeń – i określać p r o s p e k t y w n e wielkości: zasobów, usług oraz personelu. Jego zdaniem, złe rozwiązania projektowe są następstwem braku wzajemnego zrozumienia obu stron.

Część tekstu zawiera charakterystykę – ze zdjęciami – czeskich bibliotek, budowanych w latach 1918-2010. Oraz jest tam również (wyraźnie poradniczy) klarowny opis całego procesu postępowania przy projektowaniu budowy biblioteki. W sumie: bardzo to inteligentnie pomyślana publikacja.

O BIBLIOTEKACH MOBILNYCH – ZNOWU [***]

M-libraries 3. Transforming libraries with mobile technology (2012). Red. Mohamed Ally, Gill Needham. London: Facet Publishing, 206 s., ISBN 978-1-85604-776-0.

Oto już trzeci zbiór wypowiedzi na temat wykorzystania w bibliotekarstwie telefonii mobilnej – zdecydowanie słabszy od poprzednich, natomiast bardziej międzynarodowy. Jednak większość autorów ma do powiedzenia niewiele lub nic i zdaje mało zborne relacje z eksperymentalnych prób implementacji tej telefonii do bibliotecznej praktyki. Materiału na poważniejsze refleksje najwyraźniej zabrakło.

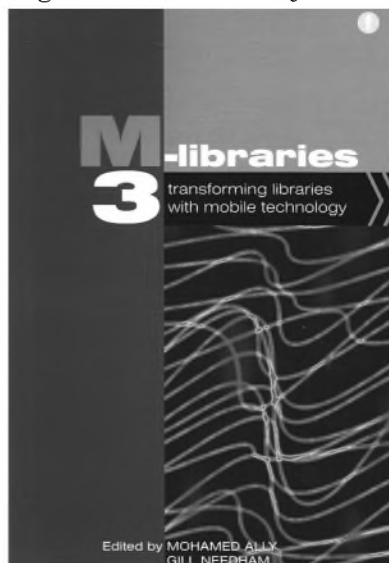
Inicjatorem tej publikacji, tak jak poprzednich, jest profesor Mohamed Ally z Uniwersytetu w Athabasca (Kanada) i jego głos – a właściwie dwa – jest w tym tomie najważniejszy. W szczególności ma zapewne rację, że biblioteki nie uciekną od usług mobilnych i taka jest idea koncepcji M-library oraz Library 3.0. Tyle, że to wszystko są dopiero początki, mniej lub bardziej próbne, nie ujęte w jednolity system technologiczny, a wobec tego – ze względu na koszty – my akurat powinniśmy chyba poczekać na stabilizację, jakkolwiek śledząc uważnie, co się w tym zakresie sukcesywnie dzieje.

Ally uważa, że mobilna telefonia powinna wspierać edukację, tam zwłaszcza, gdzie normalny Internet jest słaby, a w ogóle zakłada się, że do 2015 r. będzie z tej telefonii korzystało 80% populacji świata. Dlatego sieciowe materiały biblioteczne muszą być nastawione na ten sposób transmisji także, bo wszak jest masowy, a do tego łatwo dostępny i szybki – w czym powinny być pomocne różne platformy elektroniczne.

Natomiast kłopot polega na tym, że technologia zmienia się nieustannie i podlega miniaturyzacji. Tymczasem studenci już teraz utyskują na zbyt małe ekrany i przy dalszym ich zmniejszaniu trudno przewidzieć stosowalność.

Praktyczne zastosowanie małych formatów do zdalnej obsługi użytkowników bibliotek umożliwia system ADR, adaptujący materiały z normalnych gabarytów do miniaturowych ekranów. Tak nie było, więc to jest postęp, ale ważny tylko dla nadawców: po stronie odbioru takiej radykalnej zmiany nie ma.

Zawarte w tym tomie doniesienia z różnych krajów świadczą, że biblioteczne próby wdrożenia w tym zakresie są, lecz głównie na etapie wstępnym – do czego zresztą nikt się nie chce przyznać. W Sydney mobilne urządzenia służą



jako wyszukiwarki zasobów bibliotecznych w magazynach, dzięki temu w drodze do biblioteki można sobie wybrać materiały do wypożyczenia, a po przybyciu na miejsce będą już gotowe do odbioru. Częściej jednak w Australii, a także w Hiszpanii, stosuje się wypożyczanie do domu (na dwa tygodnie) naładowanych e-booków (urządzeń odbiorczych), ale wątpliwości technicznych i prawnych jest moc.

W Chinach z telefonii mobilnej trzeciej generacji (3G) korzysta 47 mln osób; jak na ten kraj to nie tak dużo. Tamtejsza Biblioteka Narodowa transmituje w tym trybie tekstowe i wizualne informacje użytkowo-biblioteczne, z czego podobno korzysta 75% użytkowników telefonii mobilnej, czyli 36 mln osób. Ale mnogość systemów transmisyjnych oraz wariantów urządzeń odbiorczych, również tam utrudnia na razie dalszy rozwój tej formy usług. Dlatego powtórzę: aktywne śledzenie co się dzieje, wydaje mi się w tym momencie postawą dla nas najlepszą.

MIKSOWANIE TREŚCI [***]

Rumiancewskie cztenija '11 [2011]. Red. Maria Jermakowa. Moskwa: Paszkow dom. T.1: 347 s., ISBN 978-5-7510-0512-2. T.2: 271 s., ISBN 978-5-7510-0513-9.

Biblioteka Państwowa w Moskwie organizuje corocznie wielotematyczne megakonferencje, znane jako *Rumiancewskie cztenija* i nie inaczej było w ubiegłym roku. Chociaż jest różnica: dawniej zapraszano znaczących referentów zagranicznych, a teraz spoza Rosji pojawiają się tylko bibliotekarze z niektórych, dawnych republik radzieckich, co dla jakości ma skutki złe. Pokłosie ostatniej konferencji stanowią dwa opasłe tomy, zadrukowane miniczonką, zawierające wypowiedzi niekiedy tak krótkie, że w ogóle nie wiadomo o co w nich chodzi.

Grzechem głównym, zarówno konferencji, jak i publikacji, jest całkowita dowolność tematyczna, mowa jest więc o czymkolwiek, jednak z charakterystyczną przewagą wystąpień historycznych. Poza Europą Wschodnią to jest już margines opracowań bibliologicznych. Natomiast zarówno w Rosji, jak i w Polsce, z uporem godnym lepszej sprawy, uprawia się bibliotekarską i księgoznawczą historiografię, na poziomie półamatorskim, bo tego nie piszą przecież historycy – z przeniesieniem takiego zwyczaju również na liczne rozprawy doktorskie. Czy ktoś zastanowił się, po co? W jakim celu miałbym przyjąć do pracy w bibliotece współczesnej kogoś, kto cztery albo pięć lat prześlęczał nad prywatnym księgozbiorem rodziny Iksińskich w XIX w.? Byłby więc może czas na chwilę refleksji. Tak u nich, jak i u nas.

Mnogość tematów idzie w parze ze zróżnicowaniem jakości. Obok tekstów frapujących – bo takie są w tej publikacji również, dlatego ją sygnalizuję – wiele jest marnych lub wręcz katastrofalnych. Kiedy czytam książki najlepszych tamtejszych autorów, nie mam żadnych zastrzeżeń wobec ich naukowego poziomu. Ale tu jest wiele wystąpień z drugiego, a nawet z trzeciego szeregu, pracowników naukowych (?) i bywa, że są okropne. Nagle w dużym natężeniu zobaczyłem odtworzone przejawy sformalizowanej pseudonauki sowieckiej, gdzie – w obszarze nauk humanistycznych – cała sztuka polegała na dętej frazeologii, czyli napuszoną nazywaniu faktów, bez objaśnień i problematyzacji, jak również bez wnioskowania, więc właściwie nie wiadomo po co. Okazuje się, że taka praktyka wcale nie odeszła w przeszłość.



Ponadto obydwa tomy, z wydawniczego punktu widzenia, stanowią edytorski niewypał. Teksty mianowicie ułożono w porządku... alfabetycznym, według nazwisk autorów (!?!). Jak łatwo zgadnąć, żadnego indeksu przedmiotowego nie ma, czytanie rozumne jest zatem zadaniem trudnym. Ponieważ jednak powiedło mi się, suma summarum, zreferuję tu kilka tekstów, rzeczywiście interesujących. O innych najlepiej zapomnieć.

I tak: zmiana prawa finansowego w Rosji zmusiła około 130 tys. tamtejszych bibliotek, żeby określiły się, w jakim wariantcie finansowym zechcą funkcjonować od 1 lipca 2012 r. Jako instytucje budżetowe (nie mylić z tym, co MY rozumiemy przez taką formułę) – więc z powinnością częściowego zarobkowania – czy też jako instytucje państwowe bądź municypalne, bez takiego obowiązku wprawdzie, ale również bez prawa „dorobienia sobie”: w jakikolwiek sposób. Nikt nie miał jasności, co wybrać, zwłaszcza, że należało przegryźć się jeszcze przez piętnaście korespondujących aktów prawnych. Był to więc dramatyczny moment dla bibliotek, a zwłaszcza dla ich dyrektorów. I rzeczywiście – nie ma czego zazdrościć.

W innym tekście znalazła się interesująca charakterystyka rosyjskiego, aktualnego piśmiennictwa bibliologicznego – ostatnimi czasy wyraźnie rozmnożonego i nawet być może czasopism z tego zakresu jest nieco za dużo. Przeważa tematyka elektronicznych usług informacyjnych, lecz sporo uwagi poświęca się również zarządzaniu bibliotekami, bibliotecznej innowatyce, relacjom bibliotek ze środowiskiem, jak też prawnym aspektem funkcjonowania bibliotek. Autorka, Olga Osipowa, nie tylko uważa, że jest to profil racjonalny – w czym ma rację – ale też, że świadczy o żywotności bibliotek i bibliotekarstwa. Jak dodaje ciekro: biblioteki rosyjskie, na przekór władzom, wciąż mają duże znaczenie społeczne.

Bardzo ciekawa jest także wypowiedź o problemach ochrony cennych materiałów archiwalnych oraz o dychotomii pomiędzy powinnością archiwizacji i udostępniania. Zabezpieczeniu służą stosowne przepisy, warunki przechowywania, konserwacja, oraz tworzenie kopii. Ponieważ w Rosji warunki ochrony są na ogół marne, kopiowanie jest praktykowane chętnie (nadal przeważnie w formie mikrofilmowania), ale żadne reprodukowanie dla oryginału nie jest neutralne, toteż lepiej tego nie robić, jeżeli materiał trafia do użytkownika raz na trzy lata, lub rzadziej.

Jest w Rosji zasada, że nie udostępnia się archiwalnego oryginału, jeżeli istnieje kopia, ale to nie jest wcale oczywiste rozwiązanie. Niekiedy bowiem trzeba porównać formę zewnętrzną z inną albo warianty edycji, a do tego kopie się nie nadają. Z drugiej strony: użytkownicy pracę z kopiami uważają za dyskomfort, zwłaszcza z mikrofilmowymi, których jest najwięcej, ale i reprodukcje elektroniczne nie wszystkich satysfakcjonują. W sumie użytkowanie reprodukcji stanowi zaledwie 15% całego obiegu materiałów chronionych. W praktyce to bibliotekarze ostatecznie decydują, komu udostępnić oryginał, a komu nie i jak widać, są liberalni. Trudno powiedzieć, czy to dobrze.

W tekście o rosyjskich bibliotekach narodowych, a zwłaszcza o ich zaopatrzeniu w zasoby, dzieje tych bibliotek zostały podzielone na cztery etapy – wszystkie dosyć smutne. Do 1917 r. Imperatorska Biblioteka Publiczna w Sankt Petersburgu, jak i Biblioteka Muzeum Rumiancewskiego w Moskwie, miały prawo do egzemplarza obowiązkowego, natomiast środków na zakupy nie było. Po rewolucji, ale dopiero w 1925 r., obie zyskały formalny status bibliotek narodowych i dysponowały na nabytki sporymi środkami, natomiast zniknął egzemplarz obowiązkowy. Z czasem jednak pojawił się nabytkowy pośrednik i decydent – mianowicie Izba Książki – i biblioteki w ogóle straciły kontrolę nad wpływami.

W latach 1960-1991 odzyskano prawo do decyzji o nabytkach i zwiększyły się możliwości kupowania zasobów zagranicznych. Po 1992 r. – niejako w czwartym etapie – powrócił egzemplarz obowiązkowy, jednak mizernie realizowany (skąd my to znamy?), a środki na zakupy były i są niskie. Nowa ustawa o bibliotekach narodowych nie wniosła niczego nowego, chociaż uporządkowała regulacje prawne. Zaś w 2008 r. powołano do życia w Sankt Petersburgu Bibliotekę Prezydenta Federacji Rosyjskiej im. B. Jelcyna, teraz więc (jak nigdzie indziej) są tam trzy

biblioteki narodowe. Wszystkie raczej biedne. Jest też w książce przegląd powikłanych dziejów rosyjskiego bibliotekoznawstwa, które formalnie zaistniało w 1936 r., wmontowane wtedy w obszar nauk pedagogicznych. Dużo później, bo w 1977 r., wyodrębniono jako dyscyplinę, informację naukowo-techniczną (mieliśmy reperkusje nazewnictwa tego także w Polsce), a w 1995 r. – informatykę. Od 2009 r. bibliotekoznawstwo, bibliografia i księgoznawstwo znalazły się w kręgu informacji dokumentalnej (ciekawe czy bibliotekarstwo muzyczne też), razem z informatyką, dokumentalistyką i archiwistyką. Autorka tekstu, Margarita Dworkina, w dłuższym wywodzie, odnosi naukę o bibliotekarstwie do wielu różnych nauk społecznych – z których wszak przejęliśmy już to teorię, bądź metodologię badań – i wyraźnie sugeruje, że obecne usytuowanie formalne jest mało szczęśliwe.

Jednak największe wrażenie robi bardzo piękny i mądry tekst Jeleny Strukowej o roli piśmiennictwa i bibliotek w ruchu dysydenckim – więc w działaniach na rzecz wolności i demokracji. Otóż wszyscy dysydenci, przeciwnicy socjalizmu, ludzie myślący inaczej, zaczęli dokładnie tak samo: od lektury, dostępnych w bibliotekach, wypowiedzi Lenina oraz materiałów partyjnych – dochodząc do wniosku, że wódz i jego partia sprzeniewierzyli się ideom i zdradzili ideały. Dalsze etapy dysydencji wiązały się zaś z czytaniem piśmiennictwa niepokornego.

Gromadzonego również w bibliotekach: bez bibliotek nie byłoby szerszego obiegu samizdatów i tamizdatów. W bibliotekach często pracowali byli więźniowie polityczni, ekszesłańcy i to oni dbali o archiwizację publikacji trefnych, a także aranżowali spotkania dyskusyjne, gdzie pomysły na socjalizm oraz sowieckie praktyki odsądzono od czci i wiary. Wielu z nich za to później represjonowano.

Książki uznane za wrogie nie trafiały oczywiście do normalnego obiegu: ten był ograniczony i wymagano specjalnych zezwoleń. Moje pokolenie pamięta wszak RES-y – mimo że w *Podręcznym słowniku bibliotekarza* takiego hasła nie ma. Ale w ZSRR radzono sobie z tym na różne sposoby. Przy numerycznym układzie książek na półkach, zamawiano do czytelni (posługując się tylko numerami) od razu kilkanaście pozycji, o numerach sąsiadujących w obie strony z publikacją zastrzeżoną. Oraz bywało tak, że jeden z dysydentów siedział w czytelni nad wypożyczonymi książkami (tych, co na miejscu, pilnowano słabiej) przez cały dzień, a drugi wychodził ukradkiem z książką trefną na kilka godzin (nie było jeszcze RFID i nic nie piszczało) i w jakimś pobliskim mieszkaniu wykonywano fotokopie. Dla opinii o bibliotekach i o bibliotekarzach, ten tekst ma ogromne znaczenie: podnosi na duchu.

BIBLIOTEKI W SPOŁECZEŃSTWIE [**]

Libraries and society. Role, responsibility and future in age of change (2011). Red. David Baker, Wendy Evans. Oxford: Chandos Publishing, 426 s. ISBN 978-1-84334-131-4.

A oto jeszcze jedna książka, niby ciekawie pomyślana, ale w realizacji wprowadzona do „parteru”, przez brak selekcji i pomieszczenie tekstów absolutnie dennych. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tzw. zredagowanie zbioru publikacji naukowych to często kompletna lipa: nominalni redaktorzy czerpią satysfakcję wyłącznie z honorariów oraz z umieszczania swoich nazwisk pod tytulaturą tomu, natomiast teksty kwalifikuje się „jak leci”, bez najmniejszej próby weryfikacji. Smutno, że toleruje to renomowana firma wydawnicza. Tytuł tekstów idiotycznych, jak w tym tomie, to ja już naraz dawno nie czytałem. Dlatego – jak w przypadku poprzednim – odwołam się tylko do wypowiedzi najciekawszych, bo na szczęście kilka takich tam jest.

W perspektywie angielskiej, sytuacja w komunikacji publicznej, zatem także w obszarze usług bibliotecznych, wydaje się klarowna, zarówno w ujęciu bieżącym, jak i perspektywnym. Mianowicie zakłada się równorzędną pośrednictwo w komunikacji digitalnej oraz piśmienniczej, więc z transmisją książek i czasopism

drukowanych, obok transmisji informacji oraz innych materiałów z sieci.

Wyraźnie widać w UK zmianę nastawienia wobec książek, ponieważ poziom czytelnictwa podniósł się tam ostatnio aż o 5%! Autor podaje, że czyta 60% Anglików, ale to nieprawda: to jest wskaźnik polski (64%) – tam natomiast zasięg książki obejmuje 82% populacji. Przy czym czytanie przyjemnościowe to jest najbardziej rozpowszechniona w Anglii forma aktywności kulturalnej.

Rejestr funkcji bibliotek nie zmienił się zasadniczo. Uważa się, że mają być bazą edukacji instytucjonalnej, a także samokształcenia, jak również refleksyjnego myślenia i bezpośrednich kontaktów społecznych – nie rozumiem, czemu zawsze pomija się w takich rejestrach rozrywkę – co w sumie nowością nie jest. I dobrze. Natomiast wskazuje się na wzmożoną potrzebę realizacji *information literacy* oraz na szczególne wspieranie przez biblioteki tych osób, których nie stać na domowy dostęp do Internetu. Jest też postulat rozwijania usług na dystans, ponieważ 5 mln Anglików pracuje w domu i potrzebuje takiego wsparcia. Oraz: poszerzenia oferty, na ile to możliwe, a także zmiany pór otwarcia bibliotek na dogodniejsze dla publiczności. To dobrze, że nie znają naszych.

Według innej autorki, perspektywy dla czytelnictwa w Anglii są dobre, ponieważ obecnie stale czyta książki ponad 70% tamtejszej młodzieży, a 60% (są takie sondaże) robi to z przyjemnością – w czym nie przeszkadza fakt, że 85% tejże młodzieży dysponuje telefonami komórkowymi, a średnia oglądalność telewizji wynosi wśród nich 3 godziny dziennie. Jakoś potrafią wszystko to pogodzić.

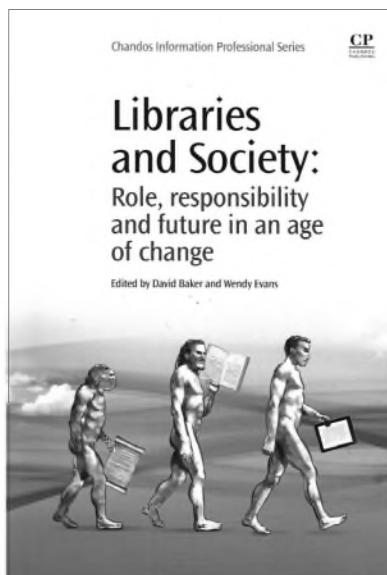
Książki do czytania przejmują głównie z bibliotek publicznych i szkolnych – kupują niewiele, bo są drogie – zaś przemożny wpływ na stosunek do piśmiennictwa ma postawa rodziców, oraz (choć w nieco mniejszym stopniu) aktywność i pomysłowość bibliotekarzy. W szerszym ujęciu: wyniki procesów edukacyjnych zostały tu silnie powiązane z procesami czytania właśnie, co ma oczywiście uzasadnienie wszędzie, także poza Anglią. No i pojawiło się oryginalne spostrzeżenie, mianowicie autorka uważa ebooki za pośrednią formę komunikacyjną, pomiędzy Internetem i piśmiennictwem. Być może ma rację.

Książki do czytania przejmują głównie z bibliotek publicznych i szkolnych – kupują niewiele, bo są drogie – zaś przemożny wpływ na stosunek do piśmiennictwa ma postawa rodziców, oraz (choć w nieco mniejszym stopniu) aktywność i pomysłowość bibliotekarzy. W szerszym ujęciu: wyniki procesów edukacyjnych zostały tu silnie powiązane z procesami czytania właśnie, co ma oczywiście uzasadnienie wszędzie, także poza Anglią. No i pojawiło się oryginalne spostrzeżenie, mianowicie autorka uważa ebooki za pośrednią formę komunikacyjną, pomiędzy Internetem i piśmiennictwem. Być może ma rację.

Zbieżne opinie zawiera też bardzo dobry tekst o bibliotekach duńskich. Tam również przyjmuje się, że są to instytucje multikomunikacyjne oraz wielousługowe, oferujące obsługę zarówno online, jak i bezpośrednią. Potrzebę „fizycznych” odwiedzin w bibliotekach autorka uzasadnia (sondażowo potwierdzonym) oczekiwaniem przez użytkowników porad i pomocy.

W tamtejszych koncepcjach bibliotek zawsze preferowano struktury większe i w tym zakresie nie zmieniło się nic: liczba bibliotek trochę zmalała, natomiast te, które istnieją, uległy rozrostowi. Poszerzyły też i wzbogaciły swoją ofertę, co jednak jeszcze wymaga lepszego doinformowania społeczeństwa i efektywniejszego marketingu.

W tekście zasygnalizowano szereg pomysłów na wzbogacenie repertuaru propozycji dla publiczności i przynajmniej kilka warto tu przytoczyć. No więc tak jak prawie wszędzie, postuluje się wprowadzanie do bibliotek kafejek – jeśli tylko pozwalają na to warunki lokalowe, a z tego co pamiętam, pozwalają często. Biblioteki, już nie tylko szkolne lecz również publiczne, coraz szerzej wspomagają uczniów w odrabianiu zadań domowych, a dla dzieci biednych organizuje się w bibliotekach akcję przekazywania na własność darmowych pakietów z książkami.



W większych bibliotekach z kolei można załatwić niektóre sprawy urzędowe, bez fatygowania się do ratusza albo do urzędu gminy. No i opisano ciekawostkę: to biblioteka samoobsługowa (forma próbowana również w USA i w Kanadzie). Użytkownicy dostają się do pomieszczenia dzięki karcie czipowej, samodzielnie zwracają i wypożyczają książki rejestrując się przez system RFID, zaś bibliotekarze pojawiają się nieregularnie i na krótko, głównie dla porządkowania zbiorów i wymiany kolekcji. Trudno zaprzeczyć, że dla bardzo małych bibliotek to może być jakieś alternatywne rozwiązanie prognostyczne – moim zdaniem znacznie lepsze od bibliotek mobilnych, lecz nie wiem czy tańsze.

Z kolei refleksja nad bibliotekarstwem amerykańskim została związana z opinią o tamtejszych kadrach bibliotekarskich, częściowo w oparciu o przeprowadzone badania. Podano, że jest tam około 101 tys. bibliotekarzy, jednak ta liczba wydaje mi się zaniżona; szacuję, że w Polsce jest nas 110 tys., a USA to duży kraj.

Natomiast ocenia się, że do 2017 r. odejdzie z pracy w tamtejszych bibliotekach 62% zatrudnionych – mniej więcej połowa na emerytury, bo w tym zawodzie średnia wieku jest na całym świecie zaawansowana – i powstanie kłopot. Studia bowiem z zakresu INiB kończy tam corocznie ok. 2700 osób, czyli na zapelnienie luk należałoby czekać 23 lata, a w tym czasie powstaną „ubytki” nowe. I wprowadzie na razie wszędzie, więc nie tylko w USA, w wyniku globalnej recesji zamraża się biblioteczne etaty nieobsadzone, a nawet wręcz redukuje zatrudnienie rzeczywiste – mimo że usługi bibliotek corocznie rosną, nieraz nawet o 10% ale w nieskończoność takiej polityki uprawiać nie można. A u nas? Wkrótce zobaczymy, jakie dramatyczne skutki przyniesie bezmyślna likwidacja CEBID-u.

Natomiast zatrudnieni bibliotekarze amerykańscy wyglądają na zadowolonych. W skali 1-5 satysfakcja z pracy kształtuje się średnio na poziomie 4,18 punktów, zaś z wynagrodzenia 3,30 – przy czym średnia pensja w bibliotekach publicznych wynosi tam 40 tys. \$, a w bibliotekach akademickich 54 tys. \$ rocznie. Coś mi mówi, że przy równoważnych poborach, nasze wskaźniki zadowolenia byłyby o wiele wyższe.

Na uniwersyteckie kwalifikowanie bibliotekarzy wszędzie utyskują znawcy, również w USA, tymczasem zaś sami absolwenci – niekoniecznie. Ogólne przygotowanie do zawodu jako złe oceniło 17% amerykańskich bibliotekarzy, zaś do konkretnie wykonywanej pracy 26%, ale takie proporcje w opiniach zdarzają się we wszystkich zawodach. Konkretnie podkreślano głównie niedostatek wiedzy o komunikacji digitalnej, ale to zrozumiałe: ten wariant komunikacji jest stosunkowo nowy i trudno się adaptuje do uczelnianej dydaktyki jako przedmiot nauczania.

Tak więc rejestr opinii wydaje się lepszy, aniżeli w tym zawodzie można byłoby oczekiwać. Pytanie tylko – czy istotnie jest nieźle, czy tylko wymagania opiniodawców nie są wygórowane.

Jacek Wojciechowski

Tekst wpłynął do Redakcji 18 marca 2012 r.